



06.05.1937, USA, okolice bazy lotniczej Lakehurst, New Jersey

Dochodziła dziewiętnasta. Lądowanie niemieckiego sterowca pasażerskiego „Hindenburg” opóźniało się o kilka godzin. Sprawiała to burza, która nie pozwalała na przycumowanie maszyny linami. Dlatego stewardzi spokojnie roznosili tace z kanapkami i ciasteczkami, koktajle dla pań i mocniejsze alkohole dla panów, a kapitan skierował kolosa w stronę oceanu, żeby zapewnić pasażerom dodatkową rozrywkę. Sterowiec sunął nad Atlantykiem z niemal nierzeczywistą łagodnością, która po pewnym czasie odbierała poczucie wysokości i oddalenia od ziemi.

W salonie pasażerskim panowało przyjemne ciepło, światło lamp rozlewało się miękko po jasnych wnętrzach urządzonych w stylu Bauhaus¹. Przyciszone rozmowy, przerywane od czasu do czasu śmiechem, brzęk szkła i głęboki, jednostajny pomruk silników aerostatu tworzyły atmosferę bezpieczeństwa, jakiej nie powstydzilby się najlepszy hotel na kontynencie. Kilku pasażerów ze śmiechem zakładało się między sobą o spore kwoty, pytając, czy wieczne pióro postawione na blacie stolika przewróci się przez najbliższe pół godziny.

¹ Bauhaus – modernistyczny nurt w architekturze i designie, zapoczątkowany w 1919 r. w Niemczech przez Waltera Gropiusa, oparty na zasadzie: „forma podąża za funkcją”. Cechuje się minimalizmem, formami geometrycznymi, wykorzystaniem stali i szkła.

Dagobert von Tittkov-Adlerstein siedział wygodnie w fotelu, z naturalną swobodą właściwą ludziom, którzy od dziecka przywykli do komfortu i tego, że świat wokół nich funkcjonuje w myśl ściśle określonych reguł. Gdyby takie byty istniały, to Dagobert byłby idealną personifikacją pojęć: *old money*² i *quiet luxury*³. Teraz obracał w dłoni kieliszek, w którym bursztynowy trunek chwytiał światło i odbijał je ciepłym, złotym blaskiem.

– Ten wypad do Ameryki to ostatnia szansa dla mnie na prawdziwy gorący romans – powiedział, unosząc lekko jasną brew i spoglądając na brata. Uwielbiał go prowokować w ten sposób. – Później, gdy już ożenię się z Caroline, jej matka i babka nie pozwolą mi spojrzeć na żadną kobietę. Do końca życia, wyobrażasz sobie?

Rudolf uśmiechnął się łagodnie i, pochylony w stronę starszego brata, szepnął:

– A po cóż miałbyś patrzeć na inne kobiety? Caroline jest taka piękna i dobra, a to najważniejsze, prawda? To najśłodsza dziewczyna, jaką znam! Chyba doceniasz, jakim jesteś wybrańcem losu?

Dagobert zamyślił się na moment, jakby udzielenie odpowiedzi wprawiło go w zakłopotanie. Boże drogi, jakim ten Rudi był idealistą! Zupełnie nie znał życia! Skąd przyszła mu do tej pocziwej główiny myśl, że Caroline to słodka kobieta? Dla niego zawsze była wredną, na szczęście niegroźną złością. Nie kochał jej, ale uważał, że jest bardzo pociągająca.

– To prawda – powiedział w końcu. – Ale kto ci powiedział, że dla żony trzeba tracić głowę, mój dobroduszny braciszku? Po prostu chcę się po raz ostatni zabawić!

Roześmiał się, lecz w tym śmiechu była nuta smutku, której nie potrafił do końca ukryć. Najwyraźniej coś go dręczyło.

² *old money* (ang.) – stare pieniądze

³ *quiet luxury* (ang.) – cicha elegancja

– Oj, Dagoberciku... – Rudolf pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem. – Nie wierzę, że jesteś taki cyniczny. Na pewno będziesz dobrym mężem. I ojcem. Jesteście sobie przeznaczeni. Przecież ją kochasz, prawda?

– Popatrz, ognie świętego Elma! – rzucił Dagobert lekko, unikając odpowiedzi na pytanie brata. – Może piorun strzeli w ten wehikuł i nie będzie żadnego ślubu? I wszystko diabli wezmą!

– Nie żartuj w ten sposób.

Dagobert jednym haustem wypił zawartość kieliszka.

– Ja nie żartuję. – Chwycił brata za ramiona i silnie nim potrząsnął. – Tydzień temu, niczym pospolity morderca, zrzuciłem w Hiszpanii bomby na rodziny podobne do tej, która siedzi obok nas⁴! Nienawidzę wojska! Zgłosiłem się do Legionu Condor tylko po to, żeby odbębnić służbę, zdobyć stopień i odsunąć się czym prędzej od tego wszystkiego. Kurwa, Rudi! Ja nie chciałem tam lecieć! A nie mogłem odmówić, bo dostałbym kulkę w łeb, rozumiesz?! Za odmowę zabijania kobiet i dzieci dostałbym karę śmierci! Dokąd ten świat zmierza?

Obaj spojrzeli w stronę rodziny siedzącej nieopodal. Państwo Doehnerowie wyglądali jak podręcznikowa familia. Ojciec, Hermann, poważny i skupiony, o twarzy człowieka przyzwyczajonego do porządku. Matilde, matka, elegancka, czujna i emanująca dumą ze swojej rodziny. I troje dzieci, które przez cały czas lotu zachowywały się nienagannie, wręcz podręcznikowo.

– Spójrz tylko – mruknął Dagobert z lekkim rozbawieniem. – Idealna niemiecka familia. Szczęśliwa. Żywa! Ile takich hiszpańskich rodzin zabiły zrzucone przeze mnie bomby? No ile?! Jak myślisz?!

Sięgnął po butelkę i znowu nalał sobie do pełna.

– Masz już dość, bracie! – Młodszy Tittkov-Adlerstein próbował przywołać go do porządku.

⁴ Chodzi o bombardowanie Guerniki, 26 kwietnia 1937 r.

– Nie! Muszę się znieczulić, Rudi! Dlatego namówiłem cię na tę eskapadę. Mam nadzieję, że potrafię zapomnieć! Pijaństwo, łajdaczenie się, hazard, żeby tylko...

Rudolf ze smutkiem pokiwał głową. Wiedział, że jego brat pod maską nonszalanckiego dziedzica fortuny ukrywał wrażliwe serce. Słyszał, jak Dagobert płakał w swojej sypialni, kiedy przyjechał z Hiszpanii na urlop. Starszy brat nie powiedział domownikom, co tam zaszło, ale i tak cały cywilizowany świat mówił o zbombardowaniu baskijskiego miasteczka Guernika.

– Popatrz, Rolfi, ta mała Irene nie spuszcza z ciebie oczu... – powiedział Dagobert nonszalanckim tonem i wychylił resztę trunku z kolejnego kieliszka. – Dobra partia! Za kilka lat... kto wie? Jak ja ci zazdroszczę tej twojej choroby kręgosłupa! Uchroniła cię przed pójściem do wojska! Poderwiesz niedługo jakąś ładną dziewczynę i będziesz szczęśliwy!

Rudolf lekko się zarumienił i odwrócił wzrok. Cieszył się, że jego brat nie ma pojęcia, w kim pechowo ulokował swoje uczucia, ale i tak czuł się wobec niego nielojalny.

– Przestań! To jeszcze dziecko.

– Dziś niemieckie dziewczęta szybko dorastają, Rudi.

Młodziutka Irene rzeczywiście ciągle spoglądała w ich stronę. Kiedy oczy jej i Rudolfa na chwilę się spotkały, spuściła wzrok. Po chwili znów podniosła go nieśmiało, bo najwyraźniej nie mogła się powstrzymać.

W tej samej chwili, gdzieś za ich plecami, rozległ się dziwny dźwięk. Brzmiał tak, jakby ktoś dla żartu strzelił z nadmuchanej papierowej torebki.

Obaj bracia unieśli głowy.

– Co to było, Dagobert?

– Pewnie diabeł przyleciał po moją potępioną duszę! – Starszy roześmiał się sztucznie.

Hermann Doehner wstał.

– Sprawdzę, co to za hałas – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Irene poderwała się z kanapy i z lekkością i wdziękiem baletnicy poderwała do półki z książkami. Dagobert odprowadził ją wzrokiem i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Taka piękna i niewinna! Jak ty, bracie. Całe życie przed wami! A ja czuję się jak starzec...

– Nie mów tak! Zapomnisz o tym wszystkim!

– Nie, Rudi. Ja jestem potępiony. Po tym, co się stało, nie jestem już normalnym człowiekiem. Nie chcę już żyć...

Nagle sterowiec się przechylił. Nie był to żaden gwałtowny wstrząs, lecz ciężkie, powolne opadanie dziobu, jakby ogromne cielsko straciło równowagę. Wszyscy poderwali się z miejsc, ale podłoga pod ich stopami zaczęła zmieniać kąt nachylenia, a to, co jeszcze przed chwilą było stabilne, zaczęło się przesuwac. Stoły i krzesła były przytwierdzone na stałe, lecz kieliszki, filizanki, talerze, sztucce i wazony z kwiatami spadały na posadzkę i tłukły się z brzękiem.

Dagobert i Rudolf osunęli się po podłodze i uderzyli z wielką siłą o ścianę. Była przechylona pod takim kątem, że teraz mieli ją pod stopami.

– Mamo, co się dzieje?! – krzyknął jeden z małych chłopców.

I wtedy rozległ się przerażony głos Matilde Doehner:

– Pali się!

Wskazywała ręką okno.

Za szybą nie było już spokojnego nieba, tylko ognista poświata. W jednej chwili żywioł rozprzestrzenił się gwałtownie, jakby samo powietrze było najlepszym paliwem. Ściana płomieni błyskawicznie przesunęła się wzdłuż konstrukcji kolosa, obejmując ją z przerażającą łatwością.

Sterowiec zadrzał. I zaczął opadać.

Jeszcze rok wcześniej był symbolem triumfu człowieka nad przestrzenią. LZ 129 „Hindenburg” od maja 1936 roku wykonywał regularne loty

przez Atlanty, łącząc Frankfurt nad Menem z Lakehurst w stanie New Jersey. Przewoził pasażerów, pocztę i ładunki, a wraz z nimi przekonanie, że świat stał się bliższy, bardziej dostępny i uporządkowany. A człowiek po tym, jak opanował ziemię, teraz przestworza czyni sobie poddanymi z przerażającą nonszalancją.

Był największym statkiem powietrznym, jaki kiedykolwiek powstał. Jego ogromna konstrukcja, długa na niemal dwieście czterdzieści pięć metrów i szeroka na ponad czterdzieści, unosiła się dzięki dwustu tysiącom kubików⁵ gazu i tworzyła w powietrzu przestrzeń, która bardziej przypominała elegancki hotel niż jakikolwiek środek transportu. W jego wnętrzu znajdowały się salony, jadalnie i pokłady spacerowe. Pasażerowie mogli w komfortowych warunkach obserwować świat z wysokości. Gdy sterowiec przelatywał nad Nową Fundlandią, podekscytowani podziwiali góry lodowe, a gdy leciał nad Nowym Jorkiem, sunął tak nisko, że niemal dotykał ludzi zgromadzonych na platformie Empire State Building. Statua Wolności oglądana z góry przypominała ogrodową figurkę pokrytą zieloną patyną.

Sterowiec wydawał się niezniszczalny. Dziś była rocznica jego pierwszego lotu do Ameryki. Nic nie zapowiadało tego tragicznego końca.

Ogień podsycony wodorem rozprzestrzenił się błyskawicznie, pochłaniając połacie bawełnianej materii impregnowane proszkiem aluminowym i tlenkiem żelaza. Konstrukcja traciła wytrzymałość, fragmenty poszycia odrywały się i odpadały, a pasażerowie, jeszcze przed chwilą spokojni, rzucili się w panice do wyjść i do okien. Ich rozpaczliwe krzyki mieszały się z hukiem płomieni niszczących sterowiec.

„Hindenburg” drżał jak żywe stworzenie, które nagle pojęło, że umiera. Agonii olbrzyma towarzyszyły przerażające odgłosy. Huk ognia, trzaski rozpadającej się konstrukcji, głosy przerażonych ludzi. Toksyczny dym

⁵ Kubik – potoczna nazwa metra sześciennego.

wciskał się do płuc, gryzł w gardła, osmalał brwi i rzęsy. Po chwili całe oświetlenie zgasło, a jego miejsce zajęła pulsująca czerwień płomieni.

Jakaś kobieta modliła się półgłosem. Młody mężczyzna walił pięściami w nagrzewającą się ścianę, jakby postradał rozum i w ten sposób chciał się wyrwać z tej płonącej pułapki.

Jedyna stewardesa, Emilie Imhof, pochyliła się nad chłopcami Doehnerów, którzy – przerażeni, z szeroko otwartymi oczami – przywarli do siebie.

– Chodźcie ze mną do mamy. Musimy skoczyć! – Chwyciła w swoje silne dłonie ich drobne ręce.

Matilde Doehner stała już przy oknie i szukała wzrokiem męża, lecz widziała tylko ogień, dym i obce twarze naznaczone strachem.

– Hermann! – zawołała, ale jej głos zginął w huk.

Kadłub statku uderzył o ziemię z głuchym jękiem. Podłoga na chwilę się wyrównała, jakby sterowiec próbował jeszcze odzyskać równowagę, lecz ogień już pożerał jego wnętrzności. Przez okno, które jeszcze przed chwilą było tylko granicą dzielącą luksusowe wnętrze i świat, teraz z zewnątrz zaczęły się wdzierać płomienie. Między jezorami ognia widać było ludzi stojących na ziemi, machających rękami, krzyczących, wyciągających ramiona ku tym, którzy wciąż byli uwięzieni w środku.

– Skaczcie! – krzyczeli z dołu. – Skaczcie, na miłość boską! Spalicie się!

Dagobert podbiegł do okna.

– Na co czekacie?! – ryknął, odwracając się do pasażerów. – Nie ma czasu!

Matilde chwyciła syna i podniosła jak piórko. Nie wahała się ani chwili. Wyrzuciła go przez okno. Chłopiec zniknął za ścianą płomieni, jakby pochłonięta go czeluść piekielna.

– Werner!

Drugi syn trzymał się kurczowo jej zakietu. Ogień był już tak blisko, że czuła żar na skórze. Uniosła chłopca i spróbowała przerzucić go,

podobnie jak pierwszego, przez ramę okna. On się jednak bronił. Odbił się od ościeżnicy, uderzył o nią barkiem i cofnął się z powrotem do wnętrza.

– Nie chcę! – wrzasnęła, chwytając się rozpaczliwie rozgrzanej ramy, po czym straszliwie się rozplakała.

Matka złapała go brutalnie, sprawiając dziecku ból. Jego włosy już się paliły, twarz czerwieniała od ognia.

– Patrz na mnie! – krzyknęła. – Patrz na mnie!

Wymierzyła mu silny policzek i korzystając z zaskoczenia, wyrzuciła drugiego syna przez płonącą ścianę.

Matilde czuła, jak jej włosy zaczynają się palić. Rozpaczliwymi ruchami ugasiła je ręką, z której płatami odchodziła już poparzona skóra. Zaczęła kaszleć. Żar cuchnący chemikaliami wdierał się do jej płuc. Odwróciła się po raz ostatni.

– Irene!

Jej córka stała kilka kroków dalej, wpatrzona w korytarz prowadzący do centralnej części sterowca.

– Nie wyjdę bez papy! – krzyczała. – Nie ruszę się bez niego!

Rudolf podbiegł do niej i chwycił ją za dłonie.

– Uciekaj! – powiedział szybko, nachylając się do jej twarzy. – Ja pójdę po twojego ojca.

– Naprawdę? – zapytała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

Przytaknął. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go dzieciennie w usta.

– Zmykaj, malutka! – wyszeptał wzruszony.

Odepchnął ją lekko w stronę okna. W ułamku sekundy przypomniał sobie kocie z opaloną sierścią, które kiedyś wyciągnął ze zgliszcz. Nie przeżyło...

Dobiegł go znajomy głos. Dagobert krzyczał z drugiej strony salonu:

– Przez okna! Wszyscy skaczcie przez okna!

Ich spojrzenia się spotkały. Rudolf popatrzył na brata i pomyślał, że jest bohaterem. Nie ewakuował się. Ratował obcych ludzi.

– Rudi, uciekaj! – wrzasnął i jemu również wskazał okno.

Rudolf tylko pokręcił głową i skierował wzrok w stronę płonącego korytarza, a potem pobiegł.

– Cholera! Spalimy się tu! – ryknął Dagobert i ruszył za nim.

Korytarz był tunelem ognia. Powietrze paliło w płucach, oczy łzawiły, a każdy oddech był walką o kolejny haust powietrza.

– Hermann! – krzyczał Rudolf.

Wśród płomieni zobaczył, że ojciec Irene leży nieruchomo na podłodze, a jego ubranie już płonie. Najwyraźniej próbował otworzyć drzwi do pokoju tajemniczego księcia, którego wprowadzono na pokład sterowca tuż przed startem i który ani na moment nie pokazał się pozostałym pasażerom. Rudolf poczuł wyrzuty sumienia, bo ów tajemniczy gość na prośbę brata zgodził się odstąpić im w ostatniej chwili jedną z dwóch zarezerwowanych dla siebie kabin. Powinni byli mu teraz pomóc! W tej części ogień płonął ze szczególną zjadłością i nie było najmniejszej szansy na to, żeby arystokrata mógł ujść z życiem.

Rudolf rzucił się ku leżącemu Hermannowi, zdzierając marynarkę. Próbował nią tłumić płomienie.

– Wstawaj! – krzyczał. – Słyszysz mnie?!

W tej samej chwili rozległ się nad nimi dziwny trzask. Część konstrukcji zadrżała i runęła, przygniatając obydwu mężczyzn. Rudolf zawył z bólu. Wiedział już, że nie ma ratunku i umrze tutaj spalony żywcem.

Dagobert dopadł do brata i chwycił go za rękę.

– Chodź!

Pociągnął z całej siły. Rudolf nie poruszył się. Najpewniej miał złamany kręgosłup. Widział, że ojciec Irene nie daje oznak życia, a jego ubranie płonie. Ogień sięgał także jego własnych włosów, osmalając je i boleśnie wgryzając się w skórę twarzy, karku i rąk.

– Uciekaj! – krzyknął do brata. – Ratuj się! Błagam!

– Nie! Nie zostawię cię tutaj!